

Polska niesolidarna

21 sierpnia 2009

20 lat chamskiej liberalnej propagandy przynosi skutki. Bolesne.

Ostatnio w mediach coraz częściej zaczyna się pojawiać temat tzw. kapitału społecznego. Głównie za sprawą tego, że wyraźny staje się problem jego braku. Dotychczas wydawało się – przynajmniej umysłem prostym – że wystarczy, aby Polacy masowo nabywali wyższe wykształcenie (mniejsza o to, w jakiej jakości uczelniach i w jakim celu), „bogacili się” (choćby na kredyt i poprzez nabywanie bzdurnych gadżetów) i ślepo naśladowali zachodnie wzorce (w wersji prawicowej oczywiście z zastrzeżeniem, że bez aborcji, feminizmu i praw gejów), byśmy „dogonili Zachód”. Tymczasem okazuje się, że nie wystarczą dyplomy, forsa, coraz większe telewizory i bardziej „wybajerowane” komórki ani przeszczepione wzorce techniczne i instytucjonalne, abyśmy ów Zachód dogonili naprawdę. Bo na „dobre życie” składa się mnóstwo elementów, w tym sporo takich, które są niematerialne lub przynajmniej niemierzalne, a w dodatku tworzą się przez wiele lat.

Co więcej, te pozornie nieistotne sprawy, które pospołu tworzą klimat kulturowy, niejednokrotnie okazują się niezwykle ważne także dla kwestii jak najbardziej wymiernych. Bo dziś już truizmem na gruncie nauk społecznych jest stwierdzenie, że długofalowy rozwój ekonomiczny zależy w niemałej mierze nie tylko od zasobów finansowych, od substancji przemysłowej czy od innowacji technologicznych, ale także od tego, czy ludzie sobie ufają, czy chętnie współpracują, jak postępują wobec siebie nawzajem, jakie wartości dominują w danej zbiorowości itd.

Problem kapitału społecznego to twardy orzech do zgryzienia dla adeptów myślenia materialistycznego – czy to w liberalno-darwinistycznej, czy też w postmarksowskiej wersji. Bo oto

okazuje się, że nie wszystko da się wyliczyć, zapisać w rubrykach ksiąg handlowych i statystyk, że nie wszystko można racjonalnie zaplanować, że nie istnieją takie „obiektywne” mechanizmy, które działają zawsze i wszędzie. Innymi słowy – „mędrca szkiełko i oko” nie załatwia sprawy.

Ale jest to problem również dla sztabowej prawicy konserwatywnej, która przekonuje, że wystarczy podlać wolny rynek sosem tzw. wartości, które społeczeństwu przekażą publicyści „Rzeczpospolitej” lub goście „Warto rozmawiać”, a wyegzekwuje szeryf w typie Rudolpha Giuliani (oczywiście w jego „wersji” z czasów, gdy prawacy jeszcze nie kojarzyli, że „Rudy” popiera aborcję i prawa gejów). Dlaczego bowiem w „postępowej” Szwecji, o której ze zgrozą mówią polscy konserwatyści jako o współczesnej Sodomie i Gomorze, jest znacznie niższa przestępczość niż w rynkowo-konserwatywnych Stanach Zjednoczonych? Dlaczego w Berlinie, zamieszkanym – znów przywołajmy wizję z prawicowych horrorów – przez rozwydrzonych „socjałem” Niemców i rzesze imigrantów, jest nieporównanie mniej strzeżonych osiedli niż w naszej „białej” Warszawie, zlokalizowanej w ponoć konserwatywnej i katolickiej Polsce? No i wreszcie, co wykazały klasyczne już badania Roberta Putnama nad kapitałem społecznym we Włoszech, dlaczego w tymże kraju ludzie bardziej sobie ufają i chętniej współpracują w północnych, nowoczesnych i zurbanizowanych regionach, za to na prowincjonalnym i „niepostępowym” Południu istnieje deficyt takowych postaw, zaś efektem „tradycyjnego stylu życia” są tam wszechobecne i niemożliwe od lat do wykorzenia struktury mafijne?

O tym, że w Polsce z kapitałem społecznym jest kiepsko, wiadomo już dość dobrze. Takie wnioski płyną z badań np. w ramach „Diagnozy Społecznej”, której kolejne edycje pokazują, że raczej nędznie wygląda u nas kwestia wzajemnego zaufania i że Polacy niechętnie angażują się w życie wspólnotowe (co gorsza, bardzo niska jest tego rodzaju aktywność ludzi młodych, więc przyszłość rysuje się w niezbyt różowych

barwach). Jeśli bywa z tym nieco lepiej, to jedynie na rudymenarnych płaszczyznach, jak niewielkie grupy: rodzina, sąsiedztwa, najbliżsi współpracownicy zawodowi itp. Będziemy o tym szerzej pisali w najbliższym „Obywatelu”, a już dziś pozwolę sobie zacytować krótki fragment tekstu Rafała Bakalarczyka, który omawiając badania porównawcze państw Europy, stwierdza, iż „Polska w 2004 r. plasowała się na ostatnim miejscu wśród krajów, które zostały uwzględnione w badaniu, zarówno pod względem sondaży zaufania, jak i udziału w tym, co określamy mianem społeczeństwa obywatelskiego”.

Zaczyna się również mówić wprost, że taki stan rzeczy może powodować poważne problemy, a dokładniej: stanowić znaczącą barierę w rozwoju Polski. Taką tezę postawił prof. Janusz Czapiński, jeden z „szefów” wspomnianej „Diagnozy Społecznej”, w kwietniowym wywiadzie dla „Polityki”, który odbił się tu i ówdzie pewnym echem. Oczywiście znajdą się tacy – i ja sytuuję się wśród nich – którzy nie do końca ufają „suchym” analizom. O tym jednak, że z kapitałem społecznym jest w Polsce krucho, przekonuje mnie już dość długie, bo kilkunastoletnie zaangażowanie w rozmaite inicjatywy społeczne, organizacje pozarządowe itp. oraz obserwacje z codziennego życia. Trzeba naprawdę wyjątkowej sytuacji, a najczęściej wyjątkowego nieszczęścia, aby nasi rodacy poczuli się wspólnotą i zrobili coś razem, solidarnie.

Ale nawet i to przestaje wystarczać. Niedawno przypadkiem znalazłem wymownego internetowego „njusa”, gdy przez Kotlinę Kłodzką przetaczała się fala powodziowa. Portal Onet.pl donosił: „Mieszkańcy Kłodzka opowiadali, że starają się bez paniki przygotować do kolejnych podtopień. Zabezpieczali workami z piaskiem przerwany wał, swoje domy i sklepy. Z jednej strony twierdzili, że fala, która przeszła przez miasto ma się nijak do tej z 1997 r., kiedy to woda w centrum miasta sięgała 12 metrów. Z drugiej – przyznawali, że wtedy choć było strasznie trudno, ludzie byli ze sobą solidarni, bardzo sobie pomagali. – Teraz moja rodzina napełnia worki z piaskiem i

układamy wał, żeby chronić nasz dobytek. Inni patrzą. Nikt nie pomoże. A są i tacy, którzy zachowują się jak turyści. Chodzą i robią zdjęcia – powiedziała rozgoryczona młoda mieszkanka Kłodzka”.

Jeśli mamy problem, to warto zastanowić się, gdzie tkwią jego przyczyny. Standardowe odpowiedzi są dwie. Pierwsza mówi, że to skutek „komuny”. Częściowo się zgodzę. PRL-owski „socjalizm”, który bazował na tłamszeniu autentycznego zaangażowania społecznego za pomocą przejęcia go przez państwo i wpuszczenia w kanały dogodne dla autorytarnej władzy, na pewno zrobił swoje w tej kwestii. Warto porównać bardzo wysoki poziom kapitału społecznego w krajach skandynawskich, gdzie rozwiązaniom socjalnym w gospodarce towarzyszy silny etos demokratyczny z mizernym poziomem tegoż kapitału w postkomunistycznej Polsce.

Ale „komuna” nie tłumaczy wszystkiego, bo wystarczy wspomnieć, że po kilku jej dekadach wydarzyło się to, co Andrzej Gwiazda trafnie nazwał „społeczeństwem nadobywatelskim”, mając na myśli hiperaktywność społeczną w czasach Pierwszej „Solidarności” z lat 1980-81. Inna rzecz, iż „Solidarność” była wyłomem nie tyle w braku kapitału społecznego, ile stanowiła przezwycięzenie jego „brudnej” postaci – bo PRL-owski „etos” kombinatorstwa, „załatwiania” i „znajomości” jest raczej łagodniejszym wydaniem klimatu kulturowego rodem z południa Włoch niż wyrazem pozytywnych więzi społecznych, jakie znamy z północy tamtego kraju i z wielu innych państw europejskich.

Wspomniany wysoki poziom kapitału społecznego w krajach skandynawskich wiąże się bezpośrednio z drugą ze zwyczajowo przywoływanych przyczyn deficytu zaufania i aktywności obywatelskiej w Polsce. Otóż rozmaici doktrynerzy liberalnej prawicy mają zawsze tę samą odpowiedź: winny jest „socjalizm”, czyli rzekomo nadmierna ingerencja państwa w życie społeczne. Po co obywatele mają się starać, skoro urzędnik-biurokrata coś za nich zrobi? Jest to oczywiście bajka, bo każdy z krajów

bardziej „socjalistycznych” – Niemcy, Francję, kraje skandynawskie – cechuje znacznie wyższy kapitał społeczny i o wiele lepsze wskaźniki zaangażowania w życie zbiorowe. Tamtejszy „socjalizm” nie tylko nie niszczy aktywności społecznej, lecz wręcz ją wzmacnia, bo w Skandynawii ruch stowarzyszeniowy – owszem, dość silny już wcześniej, głównie dzięki inicjatywom o lewicowym charakterze – nie stracił siły, lecz rozkwitał wraz z rozwojem państwa dobrobytu. Jeśli ludzie mają zapewnioną stabilizację materialną, a w „obiegu” intelektualnym i kulturowym powszechne są wzorce dowartościowujące współpracę i dobro ogólne, to zaangażowanie społeczne jest czymś oczywistym.

Skąd się zatem wzięła polska nieufność oraz obojętność względem działań na rzecz dobra wspólnego, pomijając wspomniane już przyczyny związane ze spuścizną PRL-u? Wydaje mi się, że spory wkład w to zjawisko miała propaganda liberalna, w tym także ta konserwatywno-liberalna, której po roku 1989 nastąpiła prawdziwa erupcja. Paradoksalnie, choć po części była to reakcja – w pewnej mierze uprawniona i zrozumiała – na kilka dekad przymusowego i sztucznego komunistycznego kolektywizmu, to wzmocniła tendencje pozostałe po PRL-u. Wzmogła nieufność i niechęć wobec instytucji publicznych, wpoili dystans wobec dobra wspólnego, na piedestale postawiła wąsko pojmowany indywidualizm.

Można tu wskazać dwa nurty. Pierwszy to, nazwijmy go tak, UPR-owski. O ile ugrupowanie Janusza Korwin-Mikkego jest na płaszczyźnie stricte politycznej błazenadą i całkowitą porażką, o tyle „korwinizm” odniósł całkiem spory triumf w sferze idei. Zbiegło się to oczywiście ze światową ofensywą liberalnego neokonserwatyzmu, ale on sam, bez „upeerowskiego” wsparcia, nie przeorałby tak mocno myślenia polskiej prawicy. Ten „konserwatyzm” miał w Polsce łatwiej nie tylko z uwagi na zniechęcenie wobec komuny, ale także z tego powodu, że krajowa prawica prezentowała mizerny poziom wiedzy o własnych tradycjach. Dlatego można było jej wmówić, że Thatcher czy

Reagan są swoistym prawicowym metrem z Sévres, a niemal każda państwowa ingerencja w gospodarkę czy życie publiczne – to wredny socjalizm.

UPR-owscy pyskacze trafili na podatny grunt w kraju, w którym mało kto z prawicowców posiada świadomość na przykład tego, że zanim w Wielkiej Brytanii na scenę wkroczył thatcheryzm, przez wiele dekad dominował tam o wiele bardziej „socjalny” konserwatyzm. Nie był on w dodatku efektem żadnej zdrady czy rozmiękczenia tej doktryny wskutek dominacji wzorców lewicowych, lecz wyrastał z samego rdzenia brytyjskiej doktryny konserwatywnej, której jednym z ojców był Benjamin Disraeli – twórca doktryny One Nation Conservatism, która m.in. promowała interwencjonizm gospodarczy państwa oraz „socjal” w celu łagodzenia napięć i konfliktów klasowych.

Co ciekawe, „korwinizm” wymieszany z neokonserwatyzmem to historia, która sięga korzeniami jeszcze PRL-u. Znakomitej analizy liberalnego „skrętu” opozycji antykomunistycznej pod wpływem właśnie „korwinistów”, dokonał wrocławski działacz opozycji Jan Kozia, w swym niestety mało znanym, bo niskonakładowym opracowaniu „Zerwany sojusz. Świat pracy na bocznych torach”, wydanym już w roku 1992. Autor ten bardzo obrazowo opisuje ideową infiltrację kręgów opozycyjnych przez „korwinistów”. Formułuje przy tym tezę, że w „dziele” zdrady środowisk pracowniczych stali się oni partnerem tzw. lewicy laickiej.

Ano właśnie. Drugim ze środowisk, które odpowiada za dewastację etosu dobra publicznego, a w efekcie za osłabienie kapitału społecznego, jest grupa, którą można by określić mianem środowiska dawnej Unii Wolności i „Gazety Wyborczej”, z ich wszystkimi przybudówkami i odnogami. Są to ludzie, o których wspomniany Andrzej Gwiazda powiedział kiedyś, że na przełomie lat 70. i 80. wydawali pismo „Robotnik”, by dekadę później robotników traktować wyłącznie jako roszczeniową hołotę, przeszkadzającą w robieniu interesów. Bo też o ile „korwiniści” są raczej liberalnymi ideowcami, o tyle

„michnikowcy” są liberałami dlatego, iż doktryna ta znakomicie pasowała jako uzasadnienie interesów, które na „transformacji ustrojowej” zrobili oni i ich wspólnicy. Trudno zresztą o wyznawanie spójnego zestawu poglądów podejrzewać środowisko, w którym funkcjonują zarazem konserwatywny liberał Piotr Wierzbicki i ex-działacz Polskiej Partii Socjalistycznej, Wojciech Orliński. Spoiwem tego środowiska nie jest idea, lecz forsa, wspólnota interesów klasowych. Nawiasem mówiąc, przesądza to o bezpłodności – wbrew rojeniom różnych „strategów” – wszelkich wysiłków na rzecz skierowania „Gazety Wyborczej” w lewo. Oczywiście, gdy wymaga tego interes grupowy czy nastroje społeczne, jest ona w stanie „lewicować” i zatroskać się „nierównościami społecznymi”, ale jednak nie podetnie gałęzi, na której siedzą twórcy i wydawcy, czyli finansowa oligarchia i jej nieźle płatni chłopcy na posyłki.

W każdym razie tam, gdzie konserwatywni liberałowie atakowali dobro wspólne z pobudek ideowych, tam liberałowie indyferentni lub „postępowi” obyczajowo czynili to w imię partykularnego interesu własnej grupy. Obie grupy odniosły w swym dziele sukcesy. „Gazeta Wyborcza” zainfekowała egoistyczno-liberalną propagandą szerokie kręgi społeczne, w tym elity państwowe pierwszych kilkunastu lat III RP. Natomiast „korwiniści” podobny triumf mają na koncie w odniesieniu do prawicy. W efekcie, gdy dominująca pozycja szeroko pojętego środowiska lewicy laickiej została nadszarpnięta wskutek uwikłania w aferę Rywina, kawałek tortu rządu realnego i rządu dusz zyskała liberalna prawica.

Oczywiście korwiniści-ortodoksi, ale też liberalne buldogi z „Gazety Wyborczej”, jak Witold Gadowski, potrafią pomstować na „socjalistów” z PiS lub na „zbyt ostrożnych” liberałów z PO, ale nie zmienia to faktu, że po roku 1989 w zasadzie żadna ekipa rządząca i żadne środowisko – poza może pewnymi działaniami rządu Olszewskiego oraz w okresie „pierwszego Kołodki” – nie prowadziła polityki prospołecznej i mającej na celu dobro wspólne. Nawet gdy czasami posługiwano się hasłami

solidaryzmu, jak w czasach „Polski Solidarnej” PiS-u czy w okresie AWS-u, to w praktyce przybierało to postać ministerialnej nominacji dla Zyty Gilowskiej, obniżenia podatków najbogatszym lub, co trafnie przypomniał niedawno Cezary Michalski, liberalnej apoteozy „rodziny na swoim”.

Cała debata publiczna została po roku 1989 zdominowana przez hasła liberalne, przybierające postać nie tylko krytyki interwencjonizmu państwa w gospodarkę czy regulacji podatkowych, ale także zohydzenia wszystkiego, co wspólne i publiczne. Ten zapał tyleż neofitów, co i wyrachowanych cwaniaków przybierał postaci tak skrajne i groteskowe, jak np. krytyka pomysłów prywatyzacji za pomocą akcjonariatu pracowniczego. Tego rodzaju uwłaszczenie robotników krytykowano jako rozwiązanie socjalistyczne – a krytykę taką na polskim gruncie prowadzili wyznawcy wspomnianego Reagana, który był... zwolennikiem akcjonariatu pracowniczego.

Wszystko, co nie-prywatne, było wedle takich teorii szkodliwe, ale także moralnie złe i podejrzane. Wszelkie odwołania do idei dobra wspólnego utożsamiano z komunizmem. Artykułowanie interesów dużych grup społecznych – jak pracownicy najemni – przedstawiano jako roszczeniowość i złodziejstwo. Kto sobie nie radził, wrzucony na głęboką rynkową wodę – był nieudacznikiem, leniem i półgłównikiem. Kto sobie radził dobrze – choćby za pomocą metod quasi-bandyckich czy moralnie nagannych – był wzorcem do naśladowania. Nie było słusznych protestów społecznych: gdy strajkowali nauczyciele, media biły na alarm, że okradają lekarzy; gdy strajkowali lekarze, wmawiano nam, że okradają emerytów; gdy emeryci upominali się o wyższe świadczenia, słyszeliśmy, że próbują żerować na młodzieży i pracujących. I tak w kółko.

Ważne było tylko to, co nie wykraczało poza czubek własnego nosa (w wersji prawicowej: poza czubki nosów członków „rodziny na swoim”), wszelkie działania publiczne, które wychodziły poza nieszkodliwe pięknoduchostwo i „charytatywę” (pozwalającą maskować skutki demontażu systemu zabezpieczeń socjalnych),

były frajerstwem i naiwniactwem. Jeśli ludzi chwalono za to, że się zrzeszają, to tylko wtedy, gdy mogli razem coś wyrwać. Dlatego na sympatię mediów mogli liczyć lokatorzy walczący z realnymi lub urojonymi patologiami spółdzielczości mieszkaniowej, ale już nie protestujący i oddolnie zrzeszeni lokatorzy dawnych mieszkań zakładowych, które sprzedano za grosze – wraz z ubezpieczonym „żywym towarem” – prywatnym „biznesmenom”.

Nic dziwnego, że po 20 latach takiego prania mózgów, mamy ogromny deficyt kapitału społecznego. Polska jest krajem mizernego zaangażowania obywatelskiego – jest ono zresztą jeszcze mniejsze niż obrazują to statystyki, bo znaczna część tzw. organizacji pozarządowych to de facto prywatne biznesy i firmy rodzinne. Polska jest krajem powszechnej nieufności wobec siebie wzajem („na pewno chcą mnie wyrolować”) na niemal każdym poziomie życia społecznego i zawodowego. Polska jest krajem, gdzie animowanie jakichkolwiek wysiłków wspólnotowych – choćby na poziomie mieszkańców jednej klatki schodowej – jest o wiele trudniejsze i bardziej czasochłonne niż w większości krajów europejskich, łącznie z tymi, gdzie – jak biadolą nasi konserwatyści – w zaniku są więzi społeczne.

Dziś okazuje się, że to wszystko znacznie ogranicza nasze szanse rozwojowe również na jak najbardziej przyziemnej, ekonomicznej płaszczyźnie. W Republice Egoistów każdy zyska mniej niż zyskałby wtedy, gdyby była to Republika Współpracy. A to, co w ogóle zyska, będzie funkcjonowało w nieprzyjaznym otoczeniu – wśród nieżyczliwych i zawistnych ludzi, w zdewastowanej przestrzeni publicznej, na strzeżonych osiedlach i za zamkniętymi na siedem zamków drzwiami mieszkań „rodzin na swoim”. Cena głupoty i krótkowzroczności jest wysoka. Ale na pewno jest to w tym przypadku cena uczciwie regulowana przez wolny rynek, któremu z taką ochotą postanowiono w Polsce służyć.

Autor: Remigiusz Okraska

Źródło: [Obywatel](#)